

Łukasz Maślanka: Ordoliberalizm na ugorze

Kisiel krytykował zatem czołowego polskiego monetarystę z prawej strony – przeczytaj recenzję książki *Dzienniki okresu transformacji* Stefan Kisielewski (Warszawa 2016)

Wielbiciele twórczości Stefana Kisielewskiego nie mieli w ostatnich latach powodów do narzekań. Wydawnictwo Prószyński i S-ka sukcesywnie publikowało kolejne tomy z serii “Cały Kisiel”, które zawierać miały całą spuściznę piśmienniczą – felietonistyczną, powieściową i muzykologiczną – nieustrudzonego łowcy absurdów Polski Ludowej. Stosunkowo zaniedbany pozostał ostatni okres działalności Kisielewskiego, przypadający na pierwsze lata transformacji ustrojowej. Lukę tę zapełnia teraz wydawnictwo Fijorr Publishing, wydając zbiór skierowanych do amerykańskiej Polonii mówionych felietonów autora *Ludzi w Akwarium* z lat 1988-1991.

Otrzymujemy Kisielewskiego wyzwolonego zarówno z okowów cenzury, jak i spod pantofla Wujków Dobra Rada z *Tygodnika Powszechnego* czy liberalniejszej nawet paryskiej *Kultury*. Pod koniec życia Kisielewski zerwał z redakcją na Wiślniej, gdyż coraz bardziej drażnił go niepisany obowiązek jednomyślności panujący w głównym nurcie opozycji demokratycznej lat 80. Krytykował linię “ojców transformacji” za nadmierne uleganie retoryce związkowej, unikanie problemu reform ekonomicznych, skupianie się na kwestii praw obywatelskich. To trochę

paradoksalne dlatego, że *ex post* wierchuszka odnowionej “Solidarności” będzie krytykowana właśnie za zdradę socjalnych ideałów Sierpnia.

Od początku swojej powojennej działalności w 1945 roku Stefan Kisielewski nigdy nie ukrywał, że stoi twardo na gruncie integralnej krytyki systemu socjalistycznego, i że jest zwolennikiem przywrócenia kapitalizmu. Zasiadając w popaździernikowym Sejmie chciał powołać “Jednoosobową Partię Likwidacji Socjalizmu bez Zmiany Nazwy i za Cichą Zgodą Związku Radzieckiego”. Pojałtański podział świata na dwa obozy uważał nie tylko za niewzruszalny, lecz chyba nawet szczerze nie życzył sobie jego upadku, gdyż – jak wielokrotnie zaznaczał w nieprzeznaczonych przecież do publikacji w PRL-u *Dziennikach* – niosłoby to ze sobą groźbę kolejnej wojny i rewizji granic Polski, których kształt był chyba jedynym pozytywnym aspektem zimnowojennej rzeczywistości.

Co ciekawe, zmiany zachodzące wewnątrz obozu socjalistycznego w latach 80. nie wpłynęły na to przekonanie i znajdują swoje odzwierciedlenie w felietonach składających się na omawianą publikację. Kisiel uważał – zapewne pod wpływem pozytywizmu Stanisława Stommy oraz realizmu Zbigniewa Brzezińskiego – że finlandyzacja Polski jest szczytem marzeń. Odrzucał jednak trwanie w bezsensownym systemie ekonomicznym, który po okresie niezwykle forsownych i ideologicznie planowanych inwestycji przemysłowych coraz szybciej zmierzał ku upadkowi. Nie widział sprzeczności między sojuszem z Rosją a głęboką transformacją ekonomiczną. Uważał, że zmiany w gospodarce powinny wręcz poprzedzać złagodzenie kursu politycznego, gdyż nie da się powrócić do kapitalistycznej normalności

w sposób konsensualny. Przekonanie to współgra z antydemokratyczną retoryką środowisk zbliżonych do Unii Polityki Realnej, której Kisielewski był współzałożycielem.

Z dzisiejszej perspektywy wiemy, że rzeczywistość okazała się być znacznie bardziej skomplikowana. Komunizm w swej wersji schyłkowej coraz mniej epatował ideologią, zamieniał się za to – już w okresie Breżniewa i Gierka – w całą sieć podskórnych quasimafijnych powiązań w ramach elitarnej kasty funkcjonariuszy Partii i Bezpieczeństwa, posiadających dostęp do zachodnich kontaktów, rynku i technologii. Kisiel o tym wiedział:

"To wszystko razem jest oparte na nieporozumieniu, na niezrozumieniu się pokoleń i na bardzo zręcznej polityce pana Kiszczaka i góry partyjnej, która pod pozorem reform chce uzyskać pomoc Zachodu, a jeśli się to nie uda, chce sobie przygotować drogę odwrotu, drogę przekazania - nie tyle może władzy, co odpowiedzialności komuś innemu".

Nie potrafił jednak docenić negatywnych konsekwencji. Uważał, że nie ma znaczenia, kto buduje kapitalizm, liczy się rezultat systemowy. Stąd jego pobłażanie dla "wyczynów" takich ludzi jak Gawronik, Stokłosa, Bąsik czy Sekuła, których nazwiska jednoznacznie kojarzą się nam dzisiaj z patologiami postkomunizmu. O ile nierówności są integralną częścią systemu kapitalistycznego, o tyle musi budzić sprzeciw sytuacja, w której nie są one efektem naturalnej gry rynkowej, lecz starannego planowania (sic!) przez niejawnych architektów transformacji. Wbrew temu, co wydawać się mogło autorowi *Widziane z bliska*, wyżej wymienieni aferzyści nie byli działającymi

spontanicznie pionierami, widomym znakiem procesów
ozdrowieńczych, lecz statystami „inteligentnego projektu”
inscenizowanego przez siły wewnętrzne i zewnętrzne.

Przyczyny, które wpłynęły na tę krótkowzroczność skądinąd jednego z
najbystrzejszych obserwatorów polskiej rzeczywistości, są złożone.
Kisiel, niepoprawny subiektywista, kierował się nieraz wrażeniami
wynikłymi z osobistych kontaktów, idiosynkrazji, zauroczeń i
uprzedzeń. Nie ulegał co prawda stadnemu instynktowi salonów
„warszawki” i „krakówka”, ale błędził na własną rękę, pogrążał się w
personalnych animozjach i preferencjach według swojego „widzimisię”.
Rezultat bywał czasami podobny.

W innych felietonach z okresu transformacji Stefan Kisielewski okazał
się jednak prawdziwym prorokiem. Przez cały PRL uważnie i z
zazdrością obserwował rozwój gospodarki wolnorynkowej w krajach
zachodnich, w tym zwłaszcza w RFN i we Francji. Doskonale wiedział,
że siła ekonomiczna tych krajów wynikała z uruchomionego tam po
wojnie potencjału produkcyjnego. Tymczasem polska transformacja
gospodarcza została zaprojektowana przez ludzi zniewolonych przez
monetarystyczne mity: produkcja miała ustępować usługom,
najważniejsza była stabilna waluta, jej należało podporządkować całą
politykę gospodarczą.

Kisielewski pamiętał drakońskie reformy Ludwiga Erharda w
Niemczech Zachodnich, wiedział, że zmusił on w pewnym momencie
Niemców do uruchomienia produkcji poprzez całkowite zniesienie
reglamentacji i kontroli cen. Erhard dążył następnie do zbudowania

społeczeństwa dobrobytu poprzez upowszechnienie własności. Kisiel nie bez podstaw uważał, że Leszek Balcerowicz, nowy „dyktator polskiej gospodarki” zrobił coś dokładnie przeciwnego:

„Wielokrotnie tutaj krakałem, przepowiadałem niezbyt szczęśliwe rzeczy, krytykowałem plan Balcerowicza, plan, podług którego toczy się nasze dzisiejsze życie ekonomiczne. Ale skoro już rząd ten plan wybrał, to wybrał. I obaw, że dusząc inflację, zadusi produkcję, nie ma co powtarzać, bo jest to znany zarzut, przed którym rząd się broni, zwracając uwagę, że ma już sukces - przede wszystkim w ustaleniu się kursu dolara, w ustaniu machinacji dolarowych, we wzmocnieniu się - prestiżowym co najmniej - złotówki. Natomiast, jeśli chodzi o antyprodukcyjność, o zaduszenie produkcji - to są już tego objawy. Już brakuje ludziom pieniędzy, maleje popyt - co było przewidziane, a niektóre zakłady zawieszają produkcję, zwalniają ludzi”.

Nie da się jednak i tu zapisać Kisielia do głównego obozu kontestatorów III RP. Postępowanie Balcerowicza nie tłumaczył bowiem ani zaślepieniem ani złą wolą i chęcią stworzenia gospodarki kolonialnej, rynku zbytu dla zachodnich produktów, lecz koniecznością zdobycia pieniędzy na odziedziczony po PRL-u wielki przemysł, którego natychmiastowej prywatyzacji się domagał. Krytykował zatem czołowego polskiego monetarystę z prawej strony. Uważał, że nie był on prawdziwym zwolennikiem dobrego rynku, lecz że dążył do zbudowania kapitalizmu państwowego, w którym podatnik będzie łożył coraz więcej na utrzymanie komunistycznych mamutów. Rzeczywistość sfalsyfikowała tę część diagnozy, pozostaje jednak faktem, że brak cudu gospodarczego w Polsce – bo go nie było wbrew temu, co głoszą propagandyści III RP – był skutkiem tamtego antyinflacyjnego uderzenia w rodzącą się przedsiębiorczość.

Czy Kisiel był zwolennikiem „drapieżnego kapitalizmu”? Uważał – po marksistowsku – go za niezbędny etap na drodze do dobrobytu, lecz jako chrześcijanin domagał się jednocześnie, by ład gospodarczy kształtowany był przez dobry obyczaj i odwołanie się do wartości, odrzucając jednocześnie pogłębiające się i po 1989 zbiurokratyzowanie gospodarki. W tym marzeniu po raz kolejny da się usłyszeć echa niemieckiego ordoliberalizmu. Kisiel – wbrew licznym swoim epigonom robiącym karierę wśród nastoletniego elektoratu – wiedział, że różne warianty kapitalizmu nie są sobie równe, zaś celem nie jest osiągnięcie jakiegoś pożądanego kryterium ideologicznego, lecz znalezienie dla Polski godnego miejsca w światowym podziale pracy:

„Są na świecie kraje wolnorynkowe - choćby w Ameryce Południowej, w Afryce - bardzo biedne. Mają absolutnie wolny rynek, ale są biedne. Dlaczego? Bo o dobrobycie decyduje przede wszystkim produkcja. Produkcja, która interesowała by świat, wciąż nowa produkcja. A to wymaga z jednej strony odpowiednich producentów, odpowiednich kadr ludzkich, a z drugiej zainteresowania kapitału zagranicznego, stałych inwestycji kapitałowych, kontaktów z zagranicą. Polskę te inwestycje zagraniczne omijają wobec surowych warunków reformy, wobec cła, podatku obrotowego, wysokiej stopy procentowej itd. Kapitał zagraniczny, wątki zresztą, polonijny, zatrzymał się w swoich inwestycjach i rząd wprost mówi, że nie jest to okres inwestycji, ale okres przemian ustrojowych. Ale - jak powiadam - system rynkowy to jest metoda, ale nie gwarancja dobrobytu”.

Dzienniki okresu transformacji to ważna i wciąż aktualna lektura. Niektóre oceny Kisielea spokojnie możemy puścić mimo uszu, inne uznać za efekt niedoinformowania lub typowych dla zaawansowanego

wieku kaprysów. Pozostaje jednak kilka diagnoz, które brzmią jak przestroga. Autor *Romansu zimowego* wiedział, że połączenie Polski z krwiobiegami gospodarek zachodniego świata nie jest równoznaczne z rozwiązaniem wszystkich problemów kraju. Przewidział problem pułapki średniego rozwoju, martwił się brakiem kapitału, własności prywatnej oraz słabością instytucjonalnej oraz moralnej otuliny przemian. Gdyby żył dzisiaj, to prawdopodobnie wyśmiałby humanitarnych krytyków transformacji, lecz natychmiast dodałby, że za ten ogrom wyrzeczeń można było uzyskać bardziej PRODUKTYWNY model.

Łukasz Maślanka